№ 24.

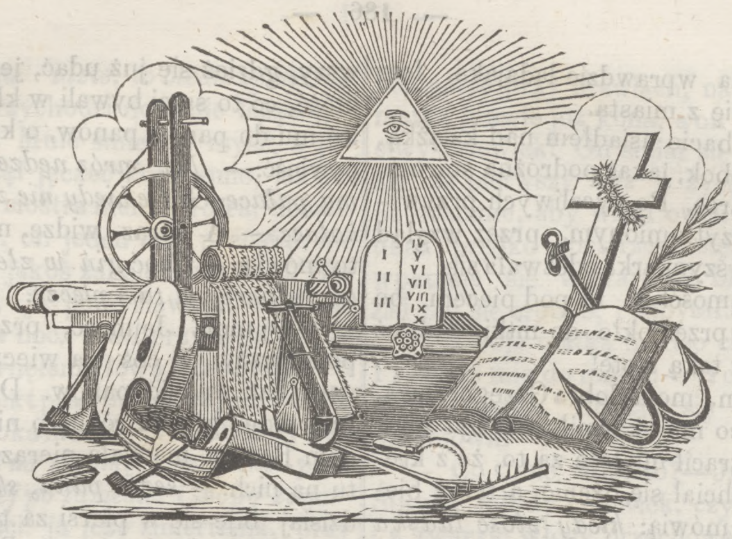
Warszawa.

Dnia 3 (15) Czerwca.

1856.

Niedziela

5 PO SWIĄTKACH.



KANTOR GŁÓWNY
W DRUKARNI J. UNGER
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszaws. płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże! Obrońco ufających w Tobie, bez którego nic mocnem, nic świętem nie jest, okaż nad nami Twoje miłosierdzie, abyśmy Ciebie za rządcę i przewodnika mając, tak zażywali dóbr doczesnych, iżbyśmy wiecznych nie stracili. (Modlitwa kościelna na niedzielę 5tą po Swiątkach).

Jałmużna.

(*Ś. Łuk.* 21. 1—4.)

Gdy przed spełnieniem wielkiéj ofiary
Modlił się Chrystus w Pana świątnicy,
A wierni swoje bogate dary,
Chętnie znosili mu do skarbnicy;
Uboga wdowa, z ofiarą rada,
Pomiędzy darów bogatych mnóstwo,
Drobny pieniążek na ołtarz składa,
I wstydem płonie za swe ubóstwo...!
Ale Pan, który serca przenika,
Widział chęć szczerą wdowy ubogiéj,
I wyżéj cenił dar jéj grosika,
Nad datek możnych, znaczny i drogi.

I dzisiaj, bracia! Bóg między nami,
A darów czeka Jego skarbnica;
Na ołtarz Jego spieszmy z darami,
Miłość w ofierze niech nam przyświeca!
I dziś Zbawiciel dary ocenia,
A Jego cierniem zraniona głowa
Boską radością się opromienia,
Gdy z darem przyjdzie uboga wdowa.
A miłe Bogu dary nieść łatwo:
Tylko mieć litość nad Jego dziatwą,
Cierpiącym ulgę ponieść w strapieniu,
Błędnym dopomódz ku ich zbawieniu,
Uraz zapomnieć szczerze i chętnie,
A napełnimy skarbnicę skrzętnie!
Na to wysileń wielkich nie trzeba:
Dość ująć sobie zbytni kęs chleba,
Dzielić go z bracią łaknącą szczerze,
A Bóg rad będzie takiéj ofierze!

A jeśli kto z Was zrumieni lica,
Że niebogaty, a dar niedrogi,
To niech mu wtedy w duszy przyświeca
Czyn w Piśmie Swiętém wdowy ubogiéj.

Popas.

Dnia 1 września 1855 roku wyjechałem po południu z Żytomierza. Miasto Żytomierz leży na Wołyniu. Gdy w drodze deszcz począł padać, stanąłem na noc o dwie tylko mile, w Deneszach, znanych z fabryki wyrobów

żelaznych. Karczma wprawdzie ladajaka, lecz byle wydźwignąć się z miasta.

Zaledwie po herbacie usiadłem nad książką, weszła do izdebki obok, jakaś podróżna staruszka, znajoma szynkarce. Po życzliwych przywitaniach, głosem przytłumionym, przez wzgląd zapewne dla mnie, szynkarka odezwała się:

—Siadajcież Jejmość! ot tu pod piecem, bo na was wszystko przemokło do nitki. Gdzież bo to biedzić się w taką słotę!

—Oh! za chlebem, moja dobra Grzegorzowa, za chlebem! Syn co mię karmił, co był pisarzem o pół milki, stracił miejsce za to, że z krewną ekonoma nie chciał się ożenić, a teraz biedakowi, ot jak to mówią: *kiedy złość ludzka urzeknie, pewno za kołnierz pocieknie*. Gdzieś przeklęła niegodziwa! Gdybyż-to on ją bałamucił; ale ona jemu nigdy nie była i w myśli; tylko że chłopiec stateczny, a z twarzy niczego, to na biedę wpadł w oko dziewczynie i jéj wujaszkowi. Chodziłam ja do tego ekonoma, płakałam przed nim, że ot zginąć przyjdzie. Ale nie miał względu na to, że przecież i ś. p. mąż mój był ekonomem, a nie takim, jak dziś niektórzy, co to bez bojaźni Boga, bez wstydu ludzi, śmiało powtarzają sobie: *Licha pensya nie utrzyma najpoczciwszych w świecie: na sumieniu kto nic niema, niema nic na grzbiecie*. Zapewne, że nie utrzyma, bo piją herbatę, czego dawniéj nie bywało; bo udają panów. A na co jemu ta politura na krzesłach, kanapach i komodzie? A na co jejmość co niedziela stroi się do kościoła jakby dziedziczka? Nasze sprzęty były dębowe, prostéj roboty. Nieboszczyk mawiał:— *Temu, co chudy pachołek, nie ma krzesła, dobry stołek*. To też za to, choć ubogo było na grzbiecie, ale pewnie z czystem sumieniem stanął tam, przed Bogiem; za to dziedzic, świeć panie nad duszą jego, wynagrodził do śmierci zasługę chatą i ogrodem, przy czém i ja w dożywociu zostałam. Dziś stąd tylko bieda, że zboże podrożało, a mój Stasiek bez miejsca. Otóż idę do siostry, co tu niedaleko za leśniczym, po jaki taki tymczasem ratunek. Syn posłuchał był rady mojéj, chodził starać się o służbę do tego, co to był dawniéj u magnata ekonomem, i co dobrze znał mego męża, a dziś rozsiadł się na własnéj wiosce. Ale gdzie tam! dobrze to mówią:— *Dorobek patrzy na ludzi z ukosa: skoro zapaniał, już dmie wyżéj nosa*. Ani chciał gadać z nim. A szczerze powiedziawszy, gdzież się już udać, jeśli nie do takich po litość, co to sami bywali w kłopotach. Jużciż nie iść mu do pana z panów, o których niesie przypowieść:— *Na mróz nędze wygania pan, co ma pałace: Gdzie biedy nie zaznano, darmo kto kołace*.— A teraz widzę, ni tu, ni tam; ot jak to mówią:— *Choć giń w złéj doli, człowiecze! bo tu parzy, a tam piecze*.

—Oj moja Jejmość, przerwała szynkarka, poddawszy jej coś na wieczerzę; nie godzi się nam tak sądzić panów. Dawniéj, snuły się i po mojéj głowie różne o nich myśli; i ja z ludem Bożym mawiała nieraz, napatrzywszy się tu na nich:— *serce pana, skarb szatana*. Ależ dzisiaj biję się w piersi za to; bo są pomiędzy nimi jakby ukochani przez Boga, który ich z synał na pociechę ludzką. Ja sama doznałam tego; a odtąd mówię o nich, jak mię niedawno jeden staruszek nauczył: *W górach dał Bóg litościwy, by woda niższe wspomogła niwy*. Posłuchaj Jejmość, a zdziwisz się, bo to cud wyraźny; to być nie mogło bez wyraźnéj woli pana Boga. O kawałku chleba poczęłam pościć na resztę lat moich, w ten dzień każdego tygodnia, kiedy tu zjawił się anioł, co mię nędzne stworzenie, już prawie z grobu podźwignął.

Raz, ni stąd, ni zowąd, byłam ja zaniemogła. Dzień po dniu, coraz gorzéj; do jedzenia ani weź, aż nakoniec i z nóg mię zwaliło. Leżałam już czwarty dzień, prawie bez pamięci. Niekiedy tylko ciężka turbacya przychodziła do głowy, co to będzie z sierotą, ot z moją dziewięcioletnią Marysią, i kto koszt podejmie, aby mię siak tak pochować. Oh dobrze to ś. p. ojciec mój powtarzał: *Odłóż po troszku w każdą Niedzielę: mało do mała, to będzie wiele*.—Nie posłuchałam ja téj rady. Za to też wtenczas, oddałabym była ostanią koszulę, aby pożyć dla téj dziewczyny do jéj wzrostu; a nie, to przynajmniéj, aby uczciwie pochowano, żeby po śmierci nikomu nie ciężyć, albo i przekleństwa nie ściągnąć za bezpłatne wykopanie grobu. Dopókąd Bóg utrzymywał na nogach, to jakoś nie dbało się o przyszłość. Ale pewnie doświadczył jak ja, kto powiedział: *Chory się dowie, co warto zdrowie*. No, nic to, jakoś poddałam się woli Pana Boga; tulę w płaczu Marynię, i cichutko czekam tylko śmierci. Ale na większy kłopot, w tęż samę porę, siostra parobka karczemnego, nie daleko stąd w lesie, na służbie u rudnika, wychodziła za mąż za jego syna. Bo to tak zawsze:

Już to kiedy coś nie idzie, to bieda spada po biédzie. Parobek przychodzi do mnie leżącéj, i prosi się na wesele. Mnie śmierć w myśli, a jemu taniec! Jak począł jęczeć koło mnie, jak począł przekładać, że siostra niema ni ojca, ni matki, że z całéj familii, on jeden brat pozostał; nie ma co mówić, mnie jakoś żal się ich zrobiło. Blisko już był wieczór, ja pomyślawszy, że może nikt nie zajedzie na noc, a on przysięga się, że do dnia powróci, kiwnęłam głową, zezwalając, na to. Jakoż na noc, nikt prawda nie zajechał. Ale nazajutrz rano, parobka niema, już i południe, a on nie wraca;—*Pozwól na słomkę, wszystko pójdzie marnie; złodziéj po ździeble, i snopy zagarnie.* Proszę Jéjmości: ja leżę śmiertelna, przy mnie na całą karczmę, ot to nędzne dziécię; a on nie wrócił ladaco, aż drugiego dnia w nocy. Jak na to w południe, kiedy jego niéma, kocz czterma końmi zajeżdża na popas. Słyszę ja dobrze, leżąc w łóżku, że w sieni, jakiś pan wysiadłszy z kocza, mówi do furmana:— Podrzuć wiązkę, niech trochę wytchną, i prędko dawaj obrok, bo mi pilno być wcześnie dziś w Zytomierzu. Ja to słyszę co do słowa; ale mnie ani w myśli parobek, coby im zniósł z pod strychu owies, pod moim kluczem zamknięty. Pan Bóg chciał wtenczas, abym o parobku zapomniała. Lokaj przygrzał coś panu swemu na śniadanie, i sza! cicho. Zajrzał tu furman, widzi mię obłożnie schorzałą i nędzną dziewczynkę, popatrzał tylko, jakby kogo szukał, taj milcząc, drzwi zamknął za sobą. Minęła może godzina, pan z izby swojéj otwiera drzwi do sieni i woła: —Czy już gotowe? — A furman odezwał się:— jeszcze owsa nie dali, bo parobek gdzieś wyszedł. —A mnie jakby szpilką w serce! mówię do Maryni: Temu panu pilno, weź klucz; idź do niego, powiedz, że ja chora, że służący poszedł na wesele. Niech poszle lokaja na górę po owies, a nie, to niechaj choć sam pofatyguje się, aby nie więcéj wzięli, jak miarkę, bo ty mnie odstąpić nie możesz, i po drabinie nigdyś nie łaziła, boś biédna kaleka na nogę. Tylko mów do niego grzecznie, jak z panem należy. — Cóż jejmość powiesz? Proszę tylko pamiętać, że jemu bardzo pilno; że jak potem dowiedziałam się z ust jego, szło tam o cały majątek, aby na termin koniecznie zjechać do gubernii. Moja dziewczyna już nie prędko rozpowiedziała mi, jak on milcząc, wlepił w nią oczy i wysłuchał, a potem zachodził się od śmiechu, latając po izbie. Mojéj biedaczce przy drzwiach, na płacz się zbiera, że matka prawie już kona, a on się rehocze. Poczciwy człowiek! On śmiał się nie z biédy cudzéj, ale że pierwszy raz w życiu każą mu piąć się po drabinie, aby wziął owsa dla koni. Jakoś jednak prędko spostrzegł się. Stanął przed nią, wpatruje się w twarz jéj bladeńką, a smutną. Żal mu się zrobiło, i zapytał:

— Twoja matka bardzo chora?— Oj bardzo! Prowadź mię do matki.—Wchodzi do mnie z kluczem w ręku. Zbliżył się do łóżka, i zwolna przemówił:

— Co tobie kobieto?—Ja spojrzałam tylko. Śliczny młody człowiek, czysty anioł i z duszy i z twarzy: włosy orzechowe, oczy jak węgiel, a głos tak łagodny, tak słodki, ot jakby gołąbka taki. Gdyby ż to ja hoża a ładna, no, jeszczeby nie dziw; bo jakto mówią: *Młody nie zważa na kobiecy stan: Cacko choć biedne umiłuje pan.* Ależ moje lat 57; twarz, ot jakby droga w grudniu, gdzie ślady kołowe zamarzną: zmarszczka, na zmarszczce; a przytém, nędza choroby, brud i lichota ubóstwa, na co spojrzysz. Nie zważa on na to. Popatrzył zbliska w oczy, kazał podać sobie rękę, wziął za puls i mówi:— Ty masz silną gorączkę; tobie potrzeba doktora.— A ja na to żebrzącym głosem:— Księdza!— Nie, mówi, ty będziesz żyła, byleś wzięła lekarstwo.— Ja wspomniawszy sobie na mój niedostatek, że nie ma na lekarstwo, wzmogłam się w żałości to tylko powiedzieć:— Ot gotowa sierota!— i łzy mię zalały. Widząc to, przemówił, ale tak pewnym głosem, jakby mu z nieba wiadomo, co będzie:— Miéj w Bogu nadzieję! — i odszedł. Lokaj zniósł obrok, konie zjadły; potem słyszę turkot. Dziewczę moje wraca z sieni i mówi:—Już pojechał.— Otóż i masz! myślę sobie; nie zapłacił za owies i siano. Aż po chwili, ona dosłyszawszy, że ktoś tam chodzi po izbie, zajrzała, i przybiega z tém, że pan pozostał, a odjechał lokaj z furmanem drogą ku Żytomierzu. Mnie trochę dziwno, bo pamiętam, że mu było pilno. Minęła może godzina, mój gość wchodzi do mnie. Popatrzył, pocieszył nadzieją, i poszedł. Nad wieczorem znowu mię nawiedził. W nocy, anim oka nie zmrużyła: ból głowy piekielny, cała, jak w ogniu. Słyszę, że ktoś wjeżdża. Parobek już był wrócił, poświecił w sieniach. Marynia moja, dziecko ciekawe, zerwała się, wraca i mówi:— Powóz ten sam; ale ktoś wysiadł z kocza.— Słucham

co ona prawi, ale ani się domyślić, coby to było. Wkrótce wchodzi mój pan drogi z nieznajomym, i mówi do mnie:— Oto masz doktora.— Na to porwałam się za głowę, ciężko westchnąwszy, a odwrócona do ściany myślę sobie: czemże doktora nagrodzę? z czemże do apteki? Zrozumiał to: Nie troszcz się, rzekł ów mój opiekun, ten pan przywiózł i lekarstwa. Bóg dobry pamięta, żeś ty niebogata.—A ja z rzewną wdzięcznością patrzę mu w oczy mówiąc: — *Ufaj, a Bóg w twéj potrzebie zeszle anioła do ciebie.*— Bo niech też Jejmość uważa tylko, a to istny anioł! Przez dwa dni! doktora nie puścił. Kilka razy tu przy mnie, żwawą mieli o to rozmowę po niemiecku. Doktór i po naszemu tłumaczył się, że w mieście ma chorych. A ten go prosi, a ten zaklina, jakby mu szło o życie matki albo siostry; a tu biedna, stara szynkarka przed nim. Aż po dwóch dniach, gdy choroba przesiliła się, doktor odjechał. A on mój dobry pan, kazał lokajowi wyszukać kobiety, nagrodził ją za to, aby nieodstępna podawała mi lekarstwa. Posyłał dwa razy do apteki; dał mi cukru i herbaty, aby lekko zaparzonéj napić się niekiedy, a gdy wróciły jego konie, któremi doktora odsyłał, to nazajutrz obliczywszy się z służącym karczemnym, pożegnał mię z tém, że wkrótce znowu tu będzie, i pojechał nie do Żytomierza, ale jakby do domu. Wrócił on w tym samym tygodniu. A jakiż to słodki był jego uśmiech, gdy ujrzał mię zdrowszą, już dźwigającą się! Po krótkim popasie pospieszył do Żytomierza. Dni kilka minęło, wraca, i wnet wchodzi do mojéj izdebki. Ja znacznie już zdrowsza, chcę rzucić mu się do nóg, ale on wstrzymuje mię, mówiąc— To ja, dobra kobieto, mam tobie podziękować, Ty musiałaś wzywać Boga za mną; bo tam przyjaciel mój wyprosił zwłokę w interesie, wiedząc, że ja tam koniecznie być muszę, a teraz pomyślną zyskałem rezolucyą.— A czemuż pan, zapytałam, z doktorem wprost nie jechał do miasta, kiedy było tak pilno?— On zaśmiał się i odpowiada:—Kiedy z półrubelkiem trudno wyżyć w mieście.— Ja prosta kobiéta, zamilkłam niezrozumiawszy tego odrazu. A to wyraźnie tak być musiało: z domu wziąwszy na krótki czas nie wiele, bo choć taki pan, to kaszy z sobą nie wozi, wydał co miał na doktora, na lekarstwa, na utrzymanie ludzi i koni, a w troskach i niepewności o swój ważny interes, biedził się napowrót do domu po pieniądze. A co moja Jejmość? czy nie słusznie powiedziałam, że niegodzi się nam chudym pachołkom, narzekać na wszystkich, co bogatsi od nas. Oj wielka w tem prawda:— *Poczciwe serce nie pyta stanu: bywa i w kmiotku, bywa i w panu.*

— A jakże się on nazywa?— zapytała podróżna.

— Toż bo to biéda moja, że ani od niego, ani od służących dowiedzieć się nie mogłam jego nazwiska. Tyle wiem tylko: kiedy już ostatni raz odjeżdżał do domu, jam wyszła do sieni, i siedzącemu w koczu, osłabiona jeszcze, niski czynię ukłon, złożywszy ręce jak do modlitwy; a on powiada:—Jeśli się dowiesz, dobra kobieto, cudem jakim, że ja już nie żyję, proszę westchnij do Boga za moję duszę...— Tu kocz ruszył, i nie dobrze dosłyszałam, zdaje się za duszę Mieczysława.— Ale Boże wielki! gdziekolwiek on jest, czuwaj nad nim! Niech on żyje szczęśliwy najdłuższe lata, dla dobra i przykładu ludziom.

Podróżna poczęła płakać, szeptać pacierze, a ja ten czyn szlachetny, z wielką pociechą serca, w mój dziennik wpisałem.

Słoń.

Słoń nietylko wielkością ciała przewyższa wszystkie czworonożne zwierzęta, ale, nadto wielu szacownemi przymiotami i pożytkami jakie przynosi, zasługuje na pierwszeństwo pomiędzy niemi.— Formy ciała tego zwierza są niekształtne,— nogi grube i pieńkowate, pomimoto wszakże jest w ruchach dość zwinnym i szybkim w biegu,— naglony ujść może do 30 mil dziennie. Kolor zwyczajny słonia jest czarniawo szary, ale zdarzają się czerwoniawe i białe, te ostatnie wszakże nadzwyczaj są rzadkie, a przez to samo najwięcéj cenione.

Na skórze słonia twardéj i pofałdowanéj, gdzieniegdzie zaledwo, sierć się znajduje, ogon jedynie zakończony jest kitą włosów twardych i lśniących, którym się ogania przed owadami. Głowę ma ogromną, uszy długie, szerokie i grube,—oczy w porównaniu z objętością głowy i całego ciała za drobne, nieforemność tę przecie dostatecznie wynagradza malująca się w nich

łagodność i pojętność. Nos jego zwany trąbą stanowi pewien rodzaj rury elastycznéj, długiéj aż do ziemi,—rura ta szersza od góry, a zwężająca się coraz ku dołowi, zbudowana jest w ten sposób, że słoń może ją dowolnie przedłużać, skurczać, giąć i obracać na wszystkie strony;— na końcu trąby znajduje się wypukłość, przedłużająca się z wierzchu, w kształcie palca, jéj to zwierz ten z niezrównaną używa zręcznością do podejmowania z ziemi najdrobniejszych nawet przedmiotów,— do rozwiązywania węzłów, odkorkowywania butelek, otwierania drzwi klamkami opatrzonych, i t. p. Trąba ta służy nadto słoniowi do rwania trawy, lub zboża i noszenia jéj do pyska— do picia używa słoń trąby jak pompy, ciągnąc nią wodę, lub inne płyny. Język ma mały,—w każdéj szczęce ma po cztery zęby do żucia pokarmów; do obrony zaś opatrzyła go natura, dwoma długiemi, wystającemi z wierzchniéj szczęki kłami, zakrzywionemi do góry;— kły te rosnąc z wiekiem dochodzą kilku stóp długości, a przy osadzie do grubości ręki;—z nich to pochodzi znana w handlu kość słoniowa, z któréj wyrabiane różne wytworne przedmioty, drogo są cenione. — Długość słonia wynosi zwyczajnie około 5ciu a wysokość około 6ciu łokci.

Słonia odznaczają: siła, odwaga, pojętność, przywiązanie i pamięć,— a nadto wdzięczność, umiarkowanie i posłuszeństwo.— Charakter jego jest zazwyczaj łagodny, w stanie nawet dzikim, napastowany wszakże jest strasznym. Żywi się trawą i zbożami, oraz rozmaitemi roślinami—w okolicach obfitujących w tego zwierza, całe nieraz ławy ryżu lub kukurydzy, zostają przezeń zniszczone.

Słonie lubią żyć gromadnie, rzadko też zdarzy się widzieć słonia odosobnionego, i takiego chwytanie lub polowanie jest możliwem, znajdujące się albowiem w gromadzie, zaczepiać byłoby nierozsądkiem.

Malowniczym jest widok przechodzącéj gromady słoni, każdy ma też swoje miejsce:—najstarszy przoduje,— drugi z kolei wieku zamyka pochód, w środku idą młode i słabe, oraz matki unoszące trąbami dzieci swoje, otoczone rzędem obrońców: — porządku tego zwykły trzymać się słonie w dalszych wędrówkach, i w miejscach wystawionych na napaść,— w okolicach zaś odludnych i wielkich lasach nie są tak ostrożne, jakkolwiek zwykły trzymać się zawsze blisko siebie, ażeby w razie napadu nieść sobie wzajemną pomoc.

Chwytanie słoni przedstawia wiele trudności i niebezpieczeństw. Upatrzywszy odosobnionego słonia, muszą albo znaczną przestrzeń, w któréj się on znajduje, otoczyć silną palisadą — albo napędzać go w wielkie doły umyślnie na ten cel kopane, z wierzchu przykryte, — albo wreszcie chwytać w sidła przy pomocy oswojonych słoni.— Aby mieć wyobrażenie o ogromie i sile tego zwierza, dość przytoczyć, że gdy biegnie, ziemia drży pod jego ciężarem, że trąbą obala lub wyrywa drzewa z korzeniami, jednem uderzeniem kłów wybija i dziurawi grube mury i t. p.

Ojczyzną słonia są kraje południowe Azyi i Afryki,— schwytane znoszą wprawdzie i zimniejsze klimaty, ale się w nich tak nie rozwijają.—O długości życia słonia nie ma pewnych wiadomości;— naturaliści wszakże twierdzą, iż kilka wieków żyć może. Samica rodzi tylko jedno młode, które ssie nie trąbą, ale gębą, jak inne zwierzęta.

Schwytany słoń zwłaszcza młody, i połączony z oswojonemi, łatwo obłaskawić się daje, już to pieszczotami, już téż groźbą i postrachem, i staje się najłagodniejszym i najposłuszniejszym ze wszystkich zwierząt.—Znanem jest powszechnie nadzwyczajne przywiązanie słonia do hodujących go dozorców, podobnego przykładu sami przed kilkunastą laty byliśmy świadkami w Warszawie.— Słoń sprowadzony do Warszawy dla pokazywania go za pieniądze, gdy dozorca, karmiący go zwykle, zachorował obłożnie dostał tęsknoty, zesmutniał, i nie chciał przyjąć żadnego pożywienia; odrzucał nawet podawane mu łakotki, które najwięcéj lubił, a po upływie kilku dni, gdy dozorca nie wracał, tęsknota ta pryzbrała groźniejsze objawy. Słoń nie pozwalał przystąpić do siebie. Umieszczony w wieży dawniejszego kościoła Bernardynek, gdzie dziś nowy Zjazd się zaczyna, starannie był strzeżony; z obawy nieszczęśliwego jakiego wypadku, zatoczono nawet armaty ostro nabite, dla dania ognia, w razie, gdyby słoń zdołał się z wieży wydobyć. Stan słonia coraz się pogorszał, a dozorca jego chorobą złożony, bolał nad ulubionem zwierzem a zwlec się nie miał siły;—wreszcie słoń wpadłszy w zupełne szaleństwo, życie w niem zakończył.—Był to jeden z rzadkich wielkością exemplarzy;— skórę jego wypchaną widzieć można

w tutejszym Zoologicznym gabinecie, dla którego nabytą została.

Słoń jest niezmiernie pojętnym; — krótki przeciąg czasu wystarcza mu do zrozumienia znaków i rozkazów swego pana, które on z rzadką wykonywa roztropnością, i z pewnem niejako zastanowieniem.— Po kilku tygodniach nauki, nietylko zgina kolana dla dogodności pragnących wsiąść na niego, ale nadto głaszcze trąbą ulubione sobie osoby, i kłania się wskazanym przez pana,— Matki Indyjanki zostawiają dzieci swoje pod strażą i opieką domowego słonia. Ten je pilnuje, kołysze i z troskliwością matki czuwa nad niemowlęciem. Lubi bardzo ozdoby i widoczną okazuje radość, kiedy go okrywają świetnemi kobiercami, lub w błyszczące stroją zaprzęgi.

Nie leni się pracy, która się ogranicza na dźwiganiu ciężarów, ale zbytniego przeciążenia nie znosi;—niesprawiedliwe z nim obejście, zniechęca go do pana, czyto gdy zostanie przezeń niesłusznie ukaranym, lub też gdy nie okaże mu dostatecznego zadowolenia za podjęte trudy.

Słuch i węch ma wyborny, muzyka i woń przyjemna miłe na nim czynią wrażenie, lubi także niektóre mocne napoje, oraz łakotki i słodycze, pomiędzy innemi kwiat i owoc pomarańczy; i gdy zdarzy mu się spotkać drzewo pomarańczowe, ogołaca je z całej zieloności, i zjada owoc, kwiaty i liście, a młode drzewka i gałązki zupełnie nawet pożera.

Kiedy posiadacz słonia chce go zniewolić do wykonania jakiego trudnego zadania, do którego zwierz naturalny wstręt okazuje, natenczas przyrzeka dać mu araku, lub innego ulubionego przysmaku;— Słoń wtedy podwaja usiłowań: ale broń Boże czynić sobie w takim razie igraszkę z dobréj jego wiary;—nie minie kłamcy sroga zemsta zawiedzionego zwierzęcia, jakkolwiek nie jest z natury okrutnym, ani mściwym. W jednem miejscu zdarzył się z tego powodu następujący wypadek. Właściciel słonia, za wydobycie znacznego z rzeki ciężaru, obiecał był słoniowi za powrotem do domu, butelkę araku.— Słoń ciężar wydobył, ale właściciel obietnicy nie dotrzymał,— czem obrażony i zagniewany słoń, silnem uderzeniem trąby pozbawił go życia.— Żona zabitego przytomna wypadkowi, w pierwszem uniesieniu żalu, rzuca mu pod nogi dwoje pozostałych dzieci, wołając: „kiedyś mi zabił męża, to i mnie i dzieciom odbierz życie",— na te słowa, znaki boleści, słoń łagodzi się nagle, jak gdyby pojmował jéj wyrazy i cierpienie, a nadto jakby chciał wynagrodzić zrządzone złe, obejmuje starszego chłopczyka trąbą, wkłada go na grzbiet, uznając go tym sposobem za swego pana, i odtąd jemu tylko staje się posłusznym.

W innem znów mieście, słoń przechodząc ulicą, zwykł był wkładać trąbę, otwartem okienkiem, do mieszkania znajomego sobie krawca, który go był przynęcił rozmaitemi łakotkami; ale w reszcie znudziły się krawcowi te datki; aby się więc uwolnić od natrętnego gościa, gdy trąba słonia pokazała się w otworze okienka, krawiec w miejsce zwykłych łakoci, ukłuł go igłą.—Słoń cofnął się natychmiast, ale postanowił się zemścić;— w parę dni gdy krawiec siedział zgarbiony nad robotą, ukazała się trąba słonia, a z niéj zaczęły się wylewać strumienie wody, które go niemało nabawiły strachu i szkody.

Jak z jednéj strony pamiętnym jest słoń doznanych uraz, tak z drugiéj znowu czuje wdzięczność za okazywaną mu przychylność;—w mieście Pondiszery w Indjach Wschodnich, był żołnierz, który upodobawszy sobie jednego słonia, darzył go często miarką araku. Otóż pewnego razu żołnierz ten podchmielony, unikając kary więzienia, schronił się był pod słonia, i zasnął; patrol szukając winnego odkrył jego schronienie, ale żadną miarą wydobyć go ztamtąd nie mógł, tak słoń swą trąbą, silny stawiał opór.— Żołnierz głębokim snem ujęty przebył tam noc całą, nazajutrz wytrzeźwiony, spostrzegł z przestrachem, gdzie się znajduje; wtedy słoń zgadując jego przerażenie, uspokaja go głaskaniem trąby, i cało wyjść mu pozwala.

Skóra słonia tak jest gruba i twarda, że jéj kula karabinowa nie przebije; i chcąc go ubić, potrzeba, ażeby kula przez oko lub ucho weszła do mózgu, ale gdy strzał podobny jest nadzwyczaj trudny, dlatego też i polowanie bardzo jest niebezpiecznem; rozdrażniony bowiem zwierz rzuca się wtedy oślep na myśliwców, i którego tylko dosięgnąć zdoła, trupem go kładzie.

Mięso słonia jest twarde i niesmaczne, nie bywa też używane na pokarm; celem polowania na słonie są głównie kły, które sowicie podjęte trudy i niebezpieczeństwa wynagradzają. — Waga jednego kła dochodzi czasami do 100 funtów,—schwytanie żywo, większe jeszcze przy-

nosi korzyści, gdyż płacą je bardzo drogo;— Cena ich stosownie do wielkości i piękności, od 3 do 10 tysięcy rubli dochodzi.

Pastuszek Malarz.

Dawno, bardzo dawno temu, żył w biednéj wiosce Kortonie pod Florencyą (1) dwunastoletni pastuszek, imieniem Piotruś. Ów mały chłopiec chodząc za trzodami, często siadał na murawie, i wśród gęstych drzew oddawał się rozmyślaniu. Nagle Piotruś znika ze swéj wioski i biegnie do miasta Florencyi.

W tym samym czasie żył w owem mieście inny chłopak, nie więcéj nad 9 lat mający, imieniem Tomasz, który będąc tak samo biednym, jak nasz pasterz Piotruś, opuścił także rodzinną wieś, aby zostać kuchtą w kuchni jednego kardynała.

Lecz Piotr nie po to przyszedł do miasta, ażeby zostać kuchcikiem, bo był ożywiony szlachetnym zapałem.— W stolicy była szkoła malarstwa, a Piotr zapragnął zostać malarzem.— Jakim sposobem mógł on zamierzonego celu dopiąć, w istocie trudno sobie wyobrazić, jednak pastuszek postanowił sprobować szczęścia.

Zatrzymał się tedy Piotruś przed pałacem kardynała i czekał cierpliwie dopóki nie skończy obiadu, żeby potém łatwiejszą miał sposobność pomówienia że swoim kolegą i przyjacielem Tomaszem.

Długo, długo czekał biedny Piotruś, gdy nareszcie z wielką dlań radością ukazał się Tomek przed pałacem swego pana.

„Jak się masz Tomku“ rzekł Piotr, patrząc z uszanowaniem na dobrze ubranego kolegę.

„Ach! jak się masz Piotrusiu? a ty co tu robisz? Cóż cię to sprowadziło? zapytał kuchta.

„Przyszedłem, żeby się uczyć malarstwa, odrzekł szybko Piotruś,

„Nie ma w tém sensu, lepiéj ucz się gotować mój kochany, odpowiedział Tomasz.— To mi to rzecz;—Nie można umrzeć z głodu w naszéj professyi.

„Możesz więc tyle jeść, ile ci się podoba?

„A rozumie się.

(1) Florencya miasto we Włoszech.

„A to wybornie, zawołał Piotr radośnie, możemy się więc porozumieć.— Ty masz za wiele, ja zaś zamało.— Dam ci więc mój apetyt, a ty w zamian daj mi swoje zbywające potrawy.

„Zgoda niech i tak będzie,“ odrzekł Tomasz.

„A więc zacznijmy zaraz wykonywać naszą umowę, odparł Piotr dobrodusznie, bo przyznam ci się, iż jeszcze dzisiaj nie jadłem obiadu.

Tomasz zaprowadził cichaczem Piotra do swojéj maleńkiej stancyjki, w któréj sypiał, odstąpił mu połowy łóżeczka, i zalecił zaczekać, zanim nie przyniesie pozostałych resztek z pańskiego stołu.

„Doskonale“—rzekł mu Piotruś— „tylko nie baw się zbyt długo, bo piesza podróż dodała mi djablego apetytu“.

Tomasz niezadługo powrócił, i obaj przyjaciele zasiedli do wieczerzy.

Była to kolacya w istocie wesoła.—Tomasz pełen dowcipu, serdecznie naśmiał się z żarłocznego apetytu swego rodaka.

Piotr nie miał za co kupić sobie papieru, ani ołówka, a że Tomasz nie pobierał jeszcze żadnych zasług, przeto ich położenie było dosyć przykre.— Lecz że ściany małej izdebki były czysto wybielone, przeto Tomasz przynosił swemu przyjacielowi zawsze kilka węgli z kuchni, któremi Piotr zaczął robić na ścianie różne rysunki. Jakiś czas przeszedł tym sposobem, gdy pewnego dnia Tomek dostał od kogoś trochę pieniędzy.— Wielka tedy radość w izdebce, bo młody malarz dostał i ołówka i papieru.

Odtąd zaczął Piotr wychodzić rankami, i wstępował do przepysznych kościołów, przypatrywał się obrazom, posągom, rysował je, a przebiegając przyległe okolice, przyglądał się polom i widokom, które zapaliły jego młodociany umysł, i które dziwnym, niczém niepowstrzymanym popędem, skłoniły go do sztuki malarskiéj.

Znikały stopniowo pierwsze grube próby rysunku mazane węglem po ścianach, i Piotr natomiast pokrywał mury szczupłej celi rysunkami daleko już lepszemi, stancyjka młodego kuchty, stała się mieszkaniem pracy i przyjaźni.

Lecz ileż to razy prosty przypadek, największe tajemnice odrazu wyświeca.—Kardynał ów postanowił w jednym roku przerobić i odnowić cały swój pałac. W tym celu przeszedł się po całym domu wraz z swoim budowniczym, i obejrzał nawet i te pokoje, w których przedtém no-

ga jego nie postała.— Stancyjka kuchty nie unikła baczności jego. Nie było w niéj wówczas Piotra, ale liczne rysunki na papierach i gołych ścianach, świadczyły o znakomitym przyszłym talencie i cierpliwości chłopca mieszkającego w téj celi.— Wartość tych prac, uderzyła mocno kardynała i budowniczego, który z nim pałac oglądał.

Kto tutaj mieszka? zapytał prałat?— Jest to stancya Tomasza kuchcika, odpowiedział jeden ze służących.

Kardynał natychmiast posłał po Tomka, ażeby mu powinszować jego biegłości w rysunkach, oraz żeby się rozmówić z nim o dalszych dlań widokach.— Tymczasem skoro biedny Tomek dowiedział się, że pan odwiedził jego mieszkanie i zobaczył mazaniny Piotra (bo tak zwykle Tomasz nazywał rysunki przyjaciela), już się miał za zgubionego.

—„Nie będziesz już dłużéj zostawał pomiędzy moimi kuchcikami, rzekł do zbliżającego się Tomasza prałat, nie wiedząc jeszcze, iż kuchcik miał współlokatora.

Tomek zrozumiał tylko dosłowne znaczenie wyrazów pana swego, i sądził, iż mu przyszło opuścić służbę, i zostać bez przytułku, za to, iż jego przyjaciel pomazał ściany węglem.

Rzucił się on do nóg swemu panu, i gorzko wzdychając zawołał:

—„O! nie oddalaj mię panie—bo cóż się stanie z moim przyjacielem Piotrem?

Kardynał zdziwiony odpowiedzią, zażądał od Tomka jaśniejszego wytłumaczenia takowej, i dopiero po niejakiém wahaniu się chłopca, potrafił się od niego dowiedzieć, iż przed dwoma laty ów kuchcik przyjął potajemnie do swego mieszkania, młodego pastuszka Piotrusia.

—„Jak tylko ten twój przyjaciel pastuszek powróci do domu wieczorem, przyprowadź go do mnie natychmiast, rzekł pan do kuchcika, a śmiejąc się serdecznie z chwilowego kłopotu chłopca, zapewnił go, iż i nadal spokojnie pozostać może w dotychczasowych obowiązkach.

Wieczorem nie powrócił młody malarz, i tydzień i dwa tygodnie minęły, a o Piotrze żadnéj nie było wieści.

W końcu Kardynał sam począł się o Piotra mocno niepokoić, a będąc wielkim protoktorem malarstwa, nakazał poszukiwanie, z którego się wykryło, iż zakonnicy pewnego ustronnego klasztoru udzielili schronienie jakiemuś młodemu czternastoletniemu chłopcu, który ich prosił o pozwolenie przerysowania pięknego obrazu, znajdującego się w kaplicy kościelnéj. Nie było wątpliwości, iż chłopcem owym był Piotruś, przyjaciel kuchcika.— Nie przerywano więc wcale jego pracy, a po skończeniu roboty przyprowadzono go mocno zadziwionego przed Kardynała, który najłaskawiéj przyjął młodzieńca, a następnie umieścił go w szkole jednego z najlepszych malarzy.

W piętnaście lat po tem zdarzeniu dwaj dojrzali mężowie żyli, jak rodzeni bracia i mieszkali razem w pięknym pałacyku wiejskim pod Florencyą. Mówiono powszechnie o jednym z nich: „Oto jeden z największych tegoczesnych malarzy.“ A o drugim mówiono: „Oto wzór przyjaciela“— Byli to, Piotr z Kortony, niegdyś ów pasterz Piotruś, i jego przyjaciel Tomasz, niegdyś ów poczciwy kuchcik;— pierwszy wielki malarz włoski, drugi zaś bogaty i powszehnie poważany obywatel.

Przypowieści.

1. Co człowieka zbogaca? Wiara, rozum praca.
2. Ten pan zdaniem mojém, kto przestał na swojem.
3. Czas, zdrowie, grosz marnie stracić, przyjdzie żalem opłacić.
4. Chceszli, by cię nikt o nic nie mógł obwinić, niedość złego nie robić—dobrze trzeba czynić.
5. Dym i pycha równe skutki mają, pną się zrazu w górę, lecz wkrótce znikają.
6. Miłe złego początki, lecz koniec żałosny.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować.—Warszawa d. 30 Maja (11 Czerwca) 1856 r.—Starszy cenzor F. Sobieszczański